ROK CZWARTY.

№ 3.

WARSZAWA

D. 4 (16) stycznia

1859.

Niedziela wtóra po Trzech Królach.

REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący, wieczny Boże, który mądrością swoją zarządzasz niebieskiemi i ziemskiemi istotami, wysłuchaj łaskawie modły ludu Twego, i udziel naszym czasom pokoju, który Ty tylko dać możesz. (Kollekta na wtórą Niedzielę po Trzech Królach.

Siła wiary.

—

Na jednem z przedmieść Warszawy mniej znaném,
W nizkim i starym dworeczku drewnianym,
Słoniącym wązki kąt Starego-miasta,
Uboga z dziećmi mieszkała niewiasta.
W nizką izdebkę przez otwór dymnika
Bladym promykiem światło dzienne wnika,
I zda się w szarym mroku niknąć prawie.
Na słomą cienko potrząśnionej ławie
Mąż chory leży, drobne płaczą dzieci,
Aż straszno spojrzeć jak tam nędza świeci!
A wszakże mówią, za niedawnych latek
Był sprzęt chędogi w domu, był dostatek;
Jakób uczciwie trudniąc się stolarką,
Pracował skrzętnie, robota szła szparko,
Grosz na grosz zawsze wynalazł się w domu,
Było i sobie, i udzielić komu.
Gdzie dzisiaj oto nagie, brudne ściany,
Swiecił niejeden obraz malowany;
Chustki wzorzyste. wstęgi purpurowe
Stroiły kształtną Marysieńki głowę,
Gdy w dzień Niedzielny z mężem do kościoła
W modlitwie kornej, szła uniżyć czoła.
I długie czasy dobrze im się wiodło,
Bo pracę, trzeźwość powzięli za godło;
I nikt pijanym nie ujrzał Jakóba;
Dobrego majstra ztąd mu przyszła chluba,
I do warsztatu jego szli z ochotą
Różni, korzystną darząc go robotą.
Maryś oszczędna, i w pracy wytrwała
Ład gospodarski w swym ręku trzymała,
A strzegąc dobra i bojaźni Bożej,
Gorliwą pracą korzyść wspólną mnoży.
I błogosławił Bóg pobożność matki,
Zdrowo jej drobne wyrastały dziatki,
I ona jednoć prosi Boga żywo,
By jej pozostać długo dał szczęśliwą.

Wszak na tym świecie radość prędko mija,
Nieszczęście pełza jako chytra żmija,
I właśnie gdy człek bieży w szczęściu rączy,
Ono mu w uśmiech kroplę jadu sączy.
Jakże w tém Boskiej znać mądrości chwałę!
W przyszłości szczęście gotując nam trwałe,
Na ziemi zaznać dozwala je tylko
Jedną króciuchną jako mgnienie chwilką;
I wraz przez dopust smutków i niedoli
Doświadcza człeka, czy się w dobrej woli
Przez miłość k'niemu i prawd zachowanie
Na całą wieczność godnym szczęścia stanie.
Biednej niewieście przyszła chwila owa;
Wesoła niegdyś, skrzętna Jakubowa
Chodzi spłakana, jako cień wybladła;
Twarz jej od troski schudła i zapadła,
A jak nie płakać, gdy ból serce kraje?
Drugie już lato mąż z łoża nie wstaje,
Robota czeka, niema robić komu,
Czeladź niepłatna rozbiegła się z domu.
Nędza zagraża rodzinie ubogiej,
Drży biedna matka od żalu i trwogi;
Piękne sukienki, chędogie graciki
Poszły do ludzi na pokarm i leki,
I jeden tylko został jej nietknięty
Dar po rodzicach, jeden obraz święty,
Piastun Dzieciątka, na nim z lilją w dłoni
Cudowny patron strapionych *Antoni.*
Dar ten szacowny jak relikwie chowa
Od młodocianych lat swych Jakóbowa;
W każdej żałości pełna silnej wiary
Z prośbą spogląda w on obrazek stary,
A wielokrotne czerpiąc z'eń pociechy,
I teraz klękła w rogu ciemnej strzechy,
Lica wybladłe bujnie łzami rosi,
O uzdrowienie męża z płaczem prosi.
I wnet niebieska krzepi ją otucha
I coś jej szepce: Bóg prośby wysłucha.
Zaledwie wstała, sen skleił powieki,
Widzi w krainie mglistej i dalekiej,
Jak piastun święty skrzydły srebrzystemi
Z Dzieciątkiem Bożem przepływa ku ziemi
I śnieżną lilją dotyka jej czoła.
A cicho, dźwięcznym głosem archanioła
Rzecze: wierzyłaś silnie, niezachwianie,
Wiarą więc twoją mąż uzdrowion wstanie;
Zdejm listek lilii z mojego obrazka,
Pańska cudownie pokrzepi go łaska,
Proszek zeń przyłóż choremu do skroni,
Zdrowie Padewski zbłagał mu Antoni.
Zbudzona spieszy, listek lilijowy
W okruszkach kładnie choremu do głowy,
A wraz pokrzepion mąż na łożu siada,
Niewiasta z płaczem na kolana pada.
Wielkież Twe cuda wszechmogący Boże,
Kto je zrozumieć, kto je pojąć może?
Wołają razem, śląc serdeczne dzięki.
I pierwszą pracą Jakóbowej ręki
Był ołtarz pięknie rzeźbiony, drewniany,
W cześć cudotwórcy zaofiarowany;
I od dnia tego znów oszczędność, praca
Poczciwych zawsze Jakóbów zbogaca.

Szpilka z obrazu Matki Boskiej.

—

W jednem z miast większych prowincyonalnych mieszkał Kowal, Mateusz Goździcki. Kuźnia jego, a przy niej ładny domek w ogródku, stała przy trakcie bitym, co prowadził przez miasto ku Warszawie, i choć na ustroniu osiadł sobie pan Mateusz, miał więcej jak inni roboty, bo był dobrym majstrem, trzeźwym, rzetelnym, pracowitym. Jak co zrobił, to już sumiennie, nie byle zbyć, jak to wielu, co Boga w sercu nie mają, robić zwykli; okuł bryczkę, to nią można było świat objechać bez naprawki, i napatrzyć się na piękną robotę; podkuł konia, to nie tak, by pochodziwszy trochę na gładkiej drodze, podkowę zaraz zgubił, a jeżeli co naprawił po fuszerce, to i z nowego tak nie bywało. To też wszyscy znali pana Goździckiego: pan, szlachcic ubogiej fortunki, chłopek na zagrodzie, wszyscy doń spieszyli z robotą, tak, że i odmawiać musiał, bo ani on, ani liczna czeladź w robocie nie nadążyła. I całkiem dobrym człowiekiem byłby p. Mateusz, gdyby nie był tak słabego charakteru w pożyciu małżeńskiem. Śmieli się niedobrzy ludziska z niego, że co żona jego powiedziała, co zrobiła, bodaj najgorzej, wmówić weń potrafiła, że to dobrze, że tak być musi; sam biedak nie miał woli w niczem, jedno panem był w kuźni, a poza jej obrębem uniżonym sługą żony sekutnicy, która jak zaczęła krzyczeć, trajkotać, a wmawiać, tak się zawsze stało, jak ona sama chciała. Wszystko w miarę, to najlepiej; można być dobrym mężem bez kłótni i swarów, ależ mniej więcej zmiarkować, czy to, co żona lub mąż robi, jest z dobrem naszem, a co więcej z dobrem naszych dzieci, czy przez zbytnią łatwowierność i nie w miejscu uległość nie

bierzemy na siebie ciężkiej odpowiedzialności przed Bogiem, który na ramiona rodzicielskie włożył wielkie i święte obowiązki. Ależ poczciwy pan Mateusz zawojowany przez żonę, nie przewidywał następstw, jakie z jego niedołęstwa wyniknąć mogły, przekładał spokój nad wszystko, a gdy żona hałasować poczynała, poszedł sobie do kuźni i nuż walić mocniej przy robocie w kowadło, by zagłuszyć trajkotanie niepowściągliwej kobiety, a stąd powstającą w sobie niecierpliwość.

Oj! bo też to była nielada sztuczka ta pani Mateuszowa: gospodarna, zabiegła, to prawda, ależ skąpa, zła, kłótliwa z sąsiadkami, łakoma na cudze mienie; lubiła plotki i na cudzą sławę najniewinniej targnąć się potrafiła, nie pomnąc, że to najcięższy grzech, który Bóg trudno przebacza, a srodze z'ań karze.

Mieli państwo Mateuszowie jedynaka syna, ośmioletniego Grzesia; sprytny był chłopak, zdolny do wszystkiego, objęty, przebiegły, rezolutny, i w innych rękach byłby z niego dzielny człowiek. Matka cieszyła się, gdy Grześ rozpustny niepowściągany w swawoli na niedostępne wkradał się trzęsawiska i zręcznie z sitowia wydostawał kacze jaja zpod dachu, lub z wysokiego drzewa zrzucał biedne pisklęta z gniazdkami, bił kamieniami żabki i niewinnym motylkom skrzydełka obrywał. Nieroztropna mamunia brała się wtedy za boki i dalejże śmiać do rozpuku, a chwalić synka przed sąsiadkami:

— A co niesprytny chłopak, o ho! pociecha to rośnie, pociecha.

— Moja sąsiadko, rzekła jej na to pani Dońska ślusarka, co żyła po Bogu i po Bogu wychowywała dziatki swoje; źle robicie, że na takie psoty pozwalacie dzieciakowi, oj źle, źle; bo kiedy on dziś biedne pisklęta matkom wydziera, męczy biedne niewinne stworzenia, to dalej nie daj Boże, niech się moje słowa w błoto zamienią, to dalej będzie głowy ludziom z karków zdejmował.

— Proszę, rzekła z przekąsem kowalka, proszę patrzeć na swoje dzieci, co ich wiecznie strofujecie, i za byle co ćwiczycie, a o cudze nie troszczcie się.

I Grześ tak rosł sobie w przywarach, a co gorzej w kłamstwie, które jest matką wszelkich występków, drogą nieomylną do złego, przewodnikiem niezawodnym w bramy więzienne. Pomału Grześ, który poprzednio ośmielił się już komuś w kościele wyciągnąć z kieszeni chustkę, doszedł do tego, że gdy raz z matką był na odpuście, w tłoku ściągnął rękę do obrazu Matki Boskiej, który noszą po za processyą, i wyjął z'eń błyszczącą szpilkę, którą pobożne ręce przypięły bukiet ze świeżych kwiatów, i schował kryjomo. Za powrotem do domu zapytany od ojca, zkądby ją wziął, uciekł się do kłamstwa i powiedział że znalazł.

— Słuchajno chłopcze, rzekł majster, zmiarkowawszy nieprawdę, możeś to ukradł?

— A toż co, krzyknęła matka, masz ty Boga w sercu posądzać własne dziecię o złodziejstwo?

Ale gdy się wydało, że istotnie Grześ szpilkę ukradł, jak zaczęła wmawiać, że to maleńka, prosta szpileczka, że to nic nie szkodzi, tak wmówić potrafiła, że Grzesiowi uszło to na sucho, co powinno było być najsrożej ukarane.

Od czasu wzięcia ze świętego obrazu owej maleńkiej szpileczki, Grześ już śmielej działał, bo zaczął znosić do domu różnego rodzaju rzeczy, na co matka przez szpary patrzała, a ojciec nie wiedział wcale. Ale raz gdy Mateusz zajęty był robotą w kuźni, przyszła policya po Grzesia, który przed kilku dniami zakradłszy się z podobnemi sobie na strych, pokradł wiele rzeczy u jednego z urzędników. Gdy się dowiedział o tem ojciec, omdlał nieszczęśliwy, a pani Mateuszowa wyleciawszy przed dom, lżyć poczęła policyanta, iż taką potwarz rzuca na jej syna; nie dawała go wziąć, ależ Grzesiowi dowiedziono kradzież i jako małoletniego ochłostano na ratuszu porządnie, zapowiadając, że raz drugi tak mu lekko nie ujdzie. Mimo to zaślepiona matka dowodzić nie przestała, że Grześ niewinnie ukarany został, o czem i niedołężnego męża przekonać potrafiła.

Wielki to i święty obowiązek dobrze dzieci wychować, a wszystko polega najwięcej na matce. Ojciec zajęty pracą i utrzymaniem domu, nie ma tyle czasu, by zgłębiać skłonności swych dziatek, złe wytępiać, dobre wpajać; ależ matka, co zawsze ma i mieć powinna dziecię na oku, odpowiedzialną jest przed Bogiem i ludźmi za złe wychowanie, boć to w matki ręku wpajać w serce dziecka swego

miłość i bojaźń Boga, a tem samem miłość cnoty, a pogardę złego; matki obowiązkiem powiedzieć mu, że nad cnotę niema nic droższego dla człowieka; droższą ona nad perły, drogie kamienie, kosztowne brylanty, złoto i srebro, krocie i miliony. Grześ że zły był, matki to wina; kochała, pieściła, dogadzała swemu sercu, a nie przewidywała zguby dziecięcia. Od czasu jak Grześ poważył się podnieść rękę i ze święconego obrazu zdjąć rzecz na ofiarę złożoną, otchłań otworzyła się pod jego nogami, i dalej i dalej brnął w kale występków, a matka jak pieściła tak pieściła, a jeżeli kto z dobrych sąsiadów przyszedł i powiedział:

— Pani Mateuszowa, bójcie się samego Boga, syn wasz ginie; rzuć ognia, nie rozważyła, że to może być prawda, ale przeklinała i w oczy kłamstwo mówiącemu zadawała. I tak szło dalej, aż Grześ doszedłszy w próżniactwie lat siedmnastu, skradł znaczne pieniądze u rodzicielskiego sąsiada, i gdy pomału wydawać się kradzież poczęła, z obawy kary zemknął. Z płaczem szukała go pokryjomu matka, ale mijały dnie, miesiące, Grzesia jak nie było tak nie było, a pan Mateusz chodził jak struty ze wstydu i boleści. I upłynęło tak lat cztery, gdy jeden z sąsiadów powiedział pani Gozdzickiej, że syna jej widział, na wielkim jarmarku w jednem z miast, pięknie ubranego i przysięgał, że to on był.

Pani Mateuszowa nie namyślając się długo, zabrała pieniądze, jakie w domu mieć mogła, i dalejże wybrała się w świat szukać syna.

W kilka dni po wyjściu Mateuszowej wezwano Goździckiego do okucia jakiegoś przestępcy w więzieniu—wprowadzono go do ciemnej komórki. Słaby dzionek zaledwie przekradać się począł przez zakratowane okna, gdy kowal klęknąwszy na ziemi i nie spojrzawszy na winowajcę, okuł mu nogi, a zamocowawszy, rzekł:

— Tych łotrze nie rozkujesz, bo te więzy Goździcki robił.

Na te słowa poszatańsku rozśmiał się zbrodniarz; spojrzał nań przelękniony majster i ujrzał własnego syna.

— O Boże, co ja widzę! zawołał i upadł na ziemię.

Tak to zwykle bywa, że ojciec, co pieści dziecko, matka, co mu na wszystko pozwala, kują dlań w przyszłości kajdany, a czoło piętnują hańbą i wstydem.

Podniesiono z ziemi nieszczęśliwego ojca, ocucono, i biedak jak nieżywy powlókł się ustronnemi ulicami do domu, nie śmiejąc spojrzeć przechodniom w oczy.

Dochodząc do domu, spotkał żonę wracającą z wycieczki w celu szukania syna, która doń rzekła:

— Nie znalazłam Mateuszu Grzesia, i płakać poczęła.

— Ale ja go znalazłem, rzekł kowal zrozpaczą, i okułem go w kajdany, ha.. ha.. ha! i tak okułem, że z nich póki życia nie wylezie i nie będzie więcej okradał kościołów, i znów zaśmiał się okropnie.

— Co on gada? pytała siebie kowalka z zadziwieniem.

— Co gadam? powtórzył kowal, oto, że syn nasz Grześ złoczyńca, żeś ty matka wychowała świętokradcę, a ja ojciec pozwoliłem na to; idź zobacz, mówił dalej, wskazując na więzienie.

— Co on gada? pytała kowalka z zadziwieniem stojącej na progu p. Doińskiej.

— Co? odpowiedziała sąsiadka, oto mówi wam, że wasz syn osadzony w kryminale, bo nie dość mu było ptasich głów, ale wziął się do głów ludzkich, a co ujdzie z biednemi ptaszętami i zwierzętami, za które niema się komu ująć, to nie tak łatwo uchodzi z ludzkiemi głowami; mówiłam wam, nie pozwalajcie tak synowi, mówiłam.

— To nieprawda! krzyknęła kowalka, źli to ludzie, co mi tak syna szkalują, i poleciała ku więzieniu, a zobaczywszy naprawdę Grzesia w kajdanach, krzyknęła:

— Grzesiu, a ty co zrobił?

— To, coście mnie nauczyli matuleńku, odpowiedział syn zuchwale. Stanęła wtedy pani Mateuszowej na oczach szpileczka z obrazu Matki Boskiej, ale zapóźno.

—Grzesiu, Grzesiu, zawołała matka, co gadasz?

Otóż to nagroda matek, co dzieci pieszczą do zbytku, wyrzuty potem od nich samych; bo gdy do rozumu przychodzą i ujrzą się na bezdrożu okryci hańbą i wstydem, a gdy jeszcze w nich tleje iskierka dobrego złem tylko wychowaniem stłumiona, słusznie wyrzucają im na oczy swoję hańbę i poniżenie. W rozpaczy

pani Mateuszowa wyszła, płacząc z więzienia, i zapóźno obaczyła złe, którego sprawczynią była. Poczciwy kowal nie przeżył hańby, jaką nań ściągnęły jego zbytnia słabość i nierozsądna uległość; umarł właśnie wtedy, gdy syna miano stawić pod pręgierz na wstyd i hańbę publiczną. Żałowano go jako dobrego sumiennego rzemieślnika i poczciwego człowieka, a jako nad słabym i niedołężnym ubolewano serdecznie. Pani Mateuszowa jak by na ukaranie za zgubę dobrowolną dziecięcia sąsiadując z panią Doińską, patrzeć musiała na jej dzieci, które pobożemu matka poczciwa wychowała. Jeden z synów już był księdzem, drugi gospodarzem, trzeci objął po ojcu warsztat ślusarski, i wszyscy byli uczciwymi ludźmi, bo takie skutki są dobrego wychowania. Poznała pani Mateuszowa złe, ale zapóźno—szkoda, że pierwej nie słuchała dobrych ludzi; i ona byłaby szczęśliwa i Grześ dobrym człowiekiem.

Muzyka kościelna.

Pusto było na wiejskich drogach, bo przy dniu świątecznym lud zebrany modlił się w drewnianym kościołku, w którym oto rozlega się śpiew, i organy, a migają światła bractwa różańcowego.

Podróżny zapóźniony w drodze, umaczał palce w kamiennej kropielnicy, pocałował krzyż nad nią przybity i wmieszał się w ciżbę brunatnych kapot, białych czepków i jaskrawych chustek przybranych makówkami.

Msza się kończyła, organy brzmiały czysto, a jasny, pogodny, niefałszywy głos młodej dziewczyny rozlegał się ponad głowami ludu..

Podróżny raz poraz składał książkę nabożną i spoglądał na ubogi chórek, zdziwiony czystym głosem organów i dziewczyny; a gdy się msza skończyła i lud skupiony u drzwi wielkich tłoczył się na cmentarz, on skręcił na boczne, wązkie schodki chóru. Ciekawość jego ożywiła drugich, za nim poszli inni: kilku wieśniaków, para wieśniaczek, dzieweczka z dzbankiem jagód, mały Antek z wierzbową fujarką i dzieciak o jasnych włosach i pełnych policzkach.

Na chórze były trzy osoby: dwudziestoletni Tomasz, syn starego organisty poruszał organy, młoda Anna, siostra jego dokończała ostatniej pieśni; w głębi klęczał stary organista, siwy, chudy, w ciemnej kapocie, przywiązany sercem do chóru, do ukochanych organków, których w czasie Mszy świętej nie odstępował, chociaż ręka jego, ani też głos nie przykładały się już w niczem do muzyki kościelnej. Było coś uroczystego i rzewnego wprzywiązaniu tem starca do instrumentu; możeby je kto wziął za słabość, za niedołężność wieku, a jednak w niem była siła i poświęcenie. Starzec bowiem pragnąc powierzyć go zdolnym i umiejętnym rękom, co niedziela uczył dzieci zebrane w wiejskiej szkole zasad muzyk, zapamiętanych z ubiegłej młodości.

Podróżny zbliżył się do kółka trzech osób, chwaląc gorliwość ich o cześć Boga i wypytując, jakim sposobem dzieci wiejskie doszły do takiej biegłości w muzyce.

Tomasz skłonił się pytającemu panu, a Anna otarłszy twarz spoconą, rzekła:

— Już cztery lata, jak śpiewamy w tym kościele; dawniej organistą był nasz ojciec, dodała, wskazując starca w ciemnej kapocie, który z uśmiechem na ustach i z książką pod pachą zbliżał się właśnie do dzieci, później ja z bratem zastąpiliśmy ojca.

— A któż was nauczył muzyki?

— Kto? powtórzyła dziewczyna, podnosząc kwiatek wypadły z warkocza; w szkółce wiejskiej założonej przez proboszcza, oprócz katechizmu, czytania i rachunków, ojciec mój co niedziela wykładał muzykę, a najlepszym jego uczniem był Tomasz. Tomasz z radością przysłuchiwał się muzyce ojca, a ja jego pieśniom. Jednego dnia rodzice poszli do miasteczka; ja czesałam len przed chatą, brat przyniósł klucz od zakrystyi zapomniany przez ojca i wzywał mnie z sobą do kościoła— poszłam za nim z ochotą. Była to godzina nieszporna; w domu Bożym cicho, pusto, tylko promienie słońca świeciły na cierniowej koronie Pana Jezusa i na białym woalu Matki Najświętszej. Brat poruszył organy; osłupiałam, słysząc, jak pięknie wygrał pieśń wieczorną, której prócz ojca nikt w całej wsi nie umiał.

— Śpiewaj, Anno, powiedział do mnie, pamiętasz słowa pieśni, idź za muzyką.

Nieuczona, nieśmiała odważyłam się i w kościołku rozległo się:

Wszystkie nasze dzienne sprawy...

Mrok zapadał, ojciec z matką powracał z miasteczka, a wstępując na gościniec, posłyszał organy. Zdumiał z przerażenia, bo w całej wsi on jeden był panem chóru i kluczy kościelnych.

— To cud! zawołała matka i z złożonemi rękami wbiegli oboje do świątyni; jakież było ich zadziwienie, kiedy mnie z bratem spostrzegli.

— Matka nie omyliła się, przerwał poważnie organista w ciemnej kapocie, boć wszelka zdolność człowieka, pojęcie jego i talent prawdziwym są cudem.

— Nie inaczej, dodał podróżny, cudem jest każdy dar Boga.

— Na Jego też cześć obróciłem Jego dary, zaczął znowu organista; ile umiałem, tyle nauczyłem dzieci i odtąd co święto zastępują mnie w chórze. Wkrótce uczułem dobre skutki pracy; dziewczyna i chłopiec stali się pobożniejsi, łagodniejsi, w chacie weselej, bo wieczorem pełno w niej było pieśni.

Anna przyuczona staranności o muzykę kościelną, zaczęła być dbałą o ołtarze; co niedziela lud widział świeże kwiaty u lamp i obrazów, a z czasem białe, cienkie nakrycia jej ręką utkane.

Tomasz wkrótce mnie prześcignął; wróciwszy od roli, pracował wspólnie z siostrą. Stare organki ojca nie wystarczały mu; obejrzał nowe, piękne w mieście i dostawszy od proboszcza potrzebnych materyałów, na ich wzór przerobił nasze. Obejrzyj panie te miechy i piszczałki.

Podróżny i wieśniacy otoczyli instrument; dzieweczka postawiła dzbanek z jagodami, chłopiec z wierzbową fujarką wspiął się na palce i dzieciak z lnianym włosem wytężył niebieskie, osłupiałe oczy.

— Więc nateraz wszystko tu jest dobrze, rzekł podróżny, ale jak Tomasz nie znajdzie już czasu na muzykę, jak Anna wyjdzie za mąż do innej parafii?

— To ja śpiewać będę jak Anny nie stanie, odezwała się wieśniaczka.

— A ja grać na organach, dodał Antek.

Za gotowość waszę do służby chóru dziękuję wam, rzekł organista; pomieszczę was w szkole wiejskiej, gdzie się wyuczycie muzyki, i gdzie zawsze znajdą się pilne i zdolne dzieci, mogące kolejno pełnić służbę chóralną.

Po tej przemowie organisty całe zgromadzenie poszło ku drzwiom wielkim; podróżny prowadził za ręce Antka i dziewczynę z jagodami, a gdy wypróbował zdolności obojga, podarował im piękną księgę śpiewów religijnyh, mówiąc:

— Pracujcie dzieci z ochotą, abyście kiedyś mogły w świątyni Pańskiej przykładać się do chwały Boga. Szczęśliwy, czyja pierś lub ręka przykłada się do podniesienia okazałości modlitwy zebranego ludu, szczęśliwa dziewczyna, która po tygodniowej ciężkiej pracy w chacie, w niedzielę może dźwięcznie w kościele zaśpiewać; Bóg pobłogosławi jej młode lata, pobłogosławi i starość. Szczęśliwa wioska, w której dobry kapłan zakłada szkołę, ucząc w niej dzieci służby Bogu i muzyki... Choćby corocznie jedno dziecko wykształcił, muzyka kościelna naszych wiejskich świątyń nie byłaby zaniedbaną; czyste jej tony świadczyłyby Bogu o dbałości i pracy ludzi, budząc zarazem w sercach uczucia piękne i tkliwe.

Wychów Zwierząt.

1. *O żywieniu i pielęgnowaniu koni.*

—

Konie należą bez zaprzeczenia do rzędu najpiękniejszych i najpożyteczniejszych zwierząt domowych, czyniąc nam niezliczone korzyści przez wyręczanie w pracy, jak również przez użycie ich pod wierzch, do zaprzęgi i tym podobnych posług. W starożytności już przewidywano pożytek, jaki to zwierzę przynieść może; przeto użyto wszelkich sposobów, aby konie stepowe dzikie przyswoić, następnie zaś przez rozum i staranność w pielęgnowaniu polepszono kształt i budowę koni, aż wreszcie utworzono rozmaite rassy, które się obecnie na całej kuli ziemskiej nader korzystnie rozmnożyły.

Konie dlatego są poszukiwane, że ze wszystkich zwierząt domowych obok swej piękności, mają najwięcej siły, wytrwałości w pracy, żywości, cierpliwości i zwinności, przez co zamożnym panom i prostym kmiotkom odpowiednie pożytki przynoszą.

Największy wpływ na zdrowie koni wywiera niewątpliwie rodzaj karmy i sposób,

jakim się takowy podaje. I właśnie na tę tak ważną dla każdego posiadacza koni okoliczność postanowiliśmy zwrócić tu bliższą uwagę.

Zwykłem pożywieniem dla koni są: suche trawy, nasiona, ziarna zbożowe i rośliny groszkowe. Ze wszystkich jednak gatunków karmu owies suchy stanowi najlepszy posiłek.

W nowszych czasach wielu gospodarzy daje za karm owies gnieciony; zauważali bowiem, że go konie prędzej i łatwiej trawią, że co do posilności odpowiada zupełnie własnościom całego owsa, i że mniejszą ilość tegoż przeznaczać można, tak, iż na każdym korcu owsa oszczędza się przynajmniej 3 do 4 garncy.

Dobra, pogodnie sprzątnięta koniczyna, siano, słoma grochowa (*grochowiny*), jęczmień szrutowany, wyka gnieciona, są po owsie najlepszym karmem dla koni.

Pszenica jest za droga, zatem rzadko się przeznacza, żyto zaś posila wprawdzie mocno, i przy obecnie wygórowanych cenach owsa miejsce tegoż zastąpić może, lecz wymaga zachowania wielkiej przezorności, szczególniej świeże, gdyż mocno rozpala i sprawia pocenie się zwierzęcia, a nieostrożnie dawane, niebezpieczne kolki kiszkowe czyli morzysko zrządza.

Chcąc więc miejsce owsa zastąpić innem ziarnem, jakoto: żytem, jęczmieniem, grochem, i bobem końskim, trzeba takowe wprzódy zeszrutować, albo przynajmniej 24 godzin w wodzie wymoczyć, aby dobrze rozpęczniało, wtedy bez obawy za pokarm koniom podawane być może.

Rzepa, kartofle, oraz wszystkie pasze jarzynne są daleko mniej posilne od owsa i tylko w ostateczności się używają,

Ilość podawania karmu dla koni nie da się z pewnością oznaczyć, zależy to zawsze od wzrostu koni i rodzaju ich pracy. Zwykle liczy się na jednego dorosłego konia dziennie owsa od 2 do 4 garncy, jęczmienia, grochu lub bobu od $1\frac{1}{2}$ do 2 garncy, a żyta od 1 do $1\frac{1}{2}$ garncy, z dodaniem 1 garnca sieczki, sporządzonej z równych części słomy i miękkiego siana, a przytem 10 do 15 funtów siana lub koniczyny na dobę.

Dobrze jest także przymieszać do obroku parę razy w tygodniu trochę soli, co trawienie bardzo ułatwia.

Konie w ciągłej pracy pozostające potrzebują większą ilość ziarna zbożowego na pokarm, zaś konie do lekkich prac używane i zupełnie od nich wolne, mogą poprzestać na mniejszej ilości tegoż, a nawet wcale się bez ziarna obejdą.

Za zwyczajny napój służy koniom czysta rzeczna lub studzienna woda, wszelako dobrą bywa woda umieszczona w beczce i nasiąknięta wrzuconym w niej kuchem lnianym. Najzdrowszym bywa taki napój w jesiennej porze, przed zimowem postawieniem koni na stajni, dając go przynajmniej przez 6 tygodni, a jeszcze lepiej skrapiać nim obrok.

Można także mieszać z obrokiem siemie lniane miałko zmielone, lecz nieprasowane, licząc po pół kwaterka na każde danie.

---

2. Niektóre ważne przestrogi dla gospodarzy wiejskich i właścicieli koni.

Każdy gospodarz dbały o zdrowie swego konia, który czyni mu ulgę w pracy, powinien zaopatrzyć się w taką ilość paszy suchej z owsa, siana i słomy, aby na cały rok wystarczała, i aby nie był zmuszony podawać za karm zbyt świeżego owsa i siana, które częstokroć pociągają za sobą złe skutki i sprawiają mocne pocenie się, rozwolnienie i osłabienie sił zwierzęcia.

Ludzie do oprzątania i żywienia koni przeznaczeni, powinni tak w domu jak poza domem na każdą zmianę na nie baczne mieć oko, aby złemu wcześnie zapobiedz było można.

Bardzo korzystnem okazało się podawanie młodym koniom karmu i napoju w wysoko umieszczonych żłobach, drabinach i korytach, przez co przyzwyczają się nosić łeb w górę; przeciwnie zaś ciągłe nachylanie się onych na pastewnikach, przy pojeniu w sadzawkach, lub rzekach i przy podawaniu suchego karmu w nisko urządzonych żłobach, sprawia, że przywykają łatwo do niedbałego zwieszania łba i nie tylko utracają właściwą sobie postawę, lecz nadto przednie nogi słabną, chód staje się niepewny i do potykania się usposabia.

Stajnie dla koni mają być wolne od pają-

czyny i od innych nieczystości, zwłaszcza po nad żłobem i drabiną; nie dozwalać również przebywania w stajni drobiu, który siadając na drabinach i żłobach, zanieczyszcza swym gnojem paszę, co jest powodem, że konie łatwo kolce kiszkowej czyli morzysku podpadają.

Przed każdym zadawaniem obroku oczyszczać wprzódy żłób wiechciem, i resztki karmu w nim pozostałe powyrzucać; szczególniej powinno to mieć miejsce w podróżach, albowiem przez lekceważenie tej przezorności można niekiedy zarazić swe konie zołzami, parchami, nosacizną, tylczakiem i t. d.

Dając koniom obrok w żłobach na popasie, nie moczyć go nigdy, ponieważ przez nalanie wody można ułatwić rozpuszczenie się oschłej materyi chorobliwej i zarazić nią swe konie.

Najlepiej mieć z sobą w podróży opałkę, lub żłobek z płótna sporządzony i własne wadro do pojenia.

Siano przeznaczone na pokarm powinno być czyste, wolne od pierza, wiórów i innych obcych ciał.

Mocno rozgrzane konie albo po zaprowadzeniu do stajni wycierać do suchości wiechciami ze słomy i okrywać derą, albo też przeprowadzać je wprzód zwolna po świeżem powietrzu przez pewien przeciąg czasu, a potem zaprowadzić do stajni, przykryć derą, obrok zasypać i nie wprzód poić, aż połowę danego obroku wyjedzą.

Niektórzy parobcy i stangreci mają ten zły zwyczaj, że gdy ich w polu deszcz lub śnieg zaskoczy, trzymają swe konie i pod nie się kładą, szukając w tém dla siebie rodzaju ochrony. Postępowanie to sprawia łatwo u koni zaziębienie i chorobę. Lepszem jest w tym razie pozostawiać konie w ciągłym ruchu i po przybyciu do stajni wytrzeć ich dobrze słomą i derami poprzykrywać.

Oczyszczanie koni przynajmniej raz codzień koniecznym jest dla zdrowia, lecz nie zaostrzać zgrzebła pilnikiem, bo skóra się przez to kaleczy.

Gdy konie zanieczyszczą nogi błotem, trzeba po przybyciu do stajni wycierać takowe wilgotnym płatem, nigdy zaś nie myć zimną wodą, z czego zwykle wywiązuje się gruda i ochwat.

Nadmienić jeszcze przostaje, iż przez podane wyżej sposoby postępowania we względzie żywienia i pielęgnowaniu koni, można utrzymywać je przy należytem zdrowiu i siłach, a przez to mieć z nich korzyść i wyręczanie w pracy. Kto niniejszemu wskazaniu nie ufa i w swej niewiadomości pozostać usiłuje, ten niech sam sobie winę przypisze, gdy zamiast cieszyć się zdrowym dobytkiem, skórę z niego na grzędzie zawiesi, lub upadłe zwierzę psom i dzikiemu ptastwu na pożarcie przeznaczy. Wtedy dopiero, lecz po niewczasie uwierzy polskiemu przysłowiu: że *kto nie dopatrzy okiem, musi dopłacić workiem.*

Zamykanie szczelne drzwi i okien.

Na zimę dla ochrony od zimnego powietrza zwykle okna oblepiają, drzwi obijają listwami; jednak i te środki nie zupełnie zabezpieczają mieszkania od zimna. Podajemy tu sposób inny i praktyczniejszy. Zależy on na tem, aby ramy okien i części drzwi nie drzewem, ale korkiem w nich osadzonym do futryn przylegały i dobrze były przyciśnięte. Sposobem tym dokładnie wykonanym, wszelkie szpary między ramami a futrynami dobrze zamkniętemi zostaną. Korek jest sprężysty, daje się ściskać, a od wilgoci pęcznieje i szczególniej jeszcze szpary zatyka. W tym celu stolarz heblem fugowym w tych miejscach, gdzie ramy do futryny przystawać mają, powinien wyheblować na brzegach ram okien, rowki na $1/4$ cala szerokie i głębokie, i osadzić w nich wykrojone z korka listewki, tak, iżby te przynajmniej na cwierć cala z ram wystawały. Takiemi listewkami opatrzone ramy okien, mocno do futryn przyciśnione, nie przepuszczą zimnego powietrza. Tak samo wypadałoby opatrywać korkowemi listewkami drzwi, aby zamknięte szczelnie do futryn przystawały.

Podajemy tu jeszcze inny sposób zabezpieczenia się od zimna, który równie nie kosztowny, w praktyce bardzo się dobrym okazuje a szczególniej w opatrzeniu drzwi. Z bawełny obszytej płótnem robią się wałki grube na 2 cale w średnicę, i takiemi wałkami obijają się futryny drzwi od strony zewnętrznej; do takich bawełnianych wałków drzwi nierównie mocniej przystaną, żadnych szczelin nie zostawią.

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 29 grudnia (10 stycznia) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*